

WINCENTY JODELIŚ

Kętrzyn dn. 29. luty. 1992

Pochodzę z miasta Wołkowysk położonego obecnie na terenie Białorusi. Ojciec mój był kolejjarzem - pomocnikiem maszynisty. Wołkowysk Centralny to była dzielnica kolejjarzy. W naszym mieście stacjonował 3-ci Pułk Strzelców Konnych imienia Hetmana polnego Koronnego Stefana Czarneckiego.

Po zajęciu naszych terenów przez wojska sowieckie chodziłem do piątej a następnie do szóstej klasy szkoły dziesięcioletniej. Poprzednio uczęszczałem do I-szej klasy gimnazjum ogólnokształcącego Polskiej Macierzy Szkolnej. W ten sposób znalazłem się w jednej klasie z moim o rok młodszym bratem Stanisławem. Po ukończeniu szóstej klasy obaj otrzymaliśmy listy pochwalne "za wzorowe sprawowanie i celujące postępy w nauce". Data na liście pochwalnym jest 7-go czerwca 1941 roku.

Tego dnia mieliśmy więc koniec roku szkolnego. 22 czerwca 1941 roku wybuchła wojna między Trzecią Rzeszą a Związkiem Sowieckim. Po panicznej ucieczce Armii Czerwonej za tydzień, w niedzielę mieliśmy już u siebie Niemców. Walk żadnych nie widziałem. Tylko Rosjanie zestrzelili swój samolot. Niemcy od razu wprowadzili swoje porządki. Wszyscy bezrobotni w wieku od 14 do 60 lat musieli zarejestrować się w Arbeitsamcie tj. Urzędzie Pracy. Załapałem się do pracy na kolei w służbie drogowej, ale to nie wiele pomogło, bo po paru tygodniach przyszło wezwanie do mnie i do mojego brata Stanisława, aby stawić się do Urzędu Pracy w celu skierowania do nowej pracy. W razie nie stawienia się była groźba, że ten zostanie rozstrzelany, albo ktoś z rodziny. Ja miałem 16 lat, a mój brat Stanisław 15. Umierać było trochę za wcześnie, a i rodziców też było szkoda. Poszliśmy.

Za biurkiem w Arbeitsamcie siedział starszy chudy Niemiec i tłumaczka, a na biurku leżał pistolet. Rozmowa była krótka. Zapytał tylko czy chcemy pracować na "łędzie", czy też iść do fabryki. Pomyślałem, że na wsi to chociaż nie będziemy głodni. Zgłosiliśmy się do pracy na roli. <sup>Na robotach mieliśmy być 4 tygodnie.</sup> Wyjazd do Prus był wyznaczony na dzień 17 - go września 1941 roku. W dniu tym po rozpaczliwym pożegnaniu z rodzicami wyjechaliśmy w wagonie towarowym w kierunku Białegostoku. Z nami był jeszcze nasz kolega Władek Gałaś, syn konduktora.

W Białymstoku ostrzyżono nam włosy, a ubranie zostało podane odwszeniu. Następnie lekarze dokonali prześwietlenia płuca. Wszystkie te czynności robili Żydzi.

Lekarze żydowscy widząc moją czapkę gimnazjalną ostrożnie wypytywali jak to jest, że nas wywożą na roboty do Niemiec. Na wszystkie pytania im odpowiadałem nic nie skrywając. Potem znowu załadowano nas do wagonów towarowych i pojechaliśmy w kierunku na Ostrołękę. Od Ostrołęki jechaliśmy w wagonach osobowych. Po minięciu stacji Chorzele byliśmy już na terenie Prus Wschodnich. Jeszcze przed Wielbarkiem ( n. Willenberg ) widzieliśmy na torach pracującą pod nadzorem Niemców polską młodzież. Niektóre dziewczyny to krzyczały nawet " niech żyje Polska ". Po drodze nocowaliśmy w Białymstoku, Olsztynie i Ostródzie.

Rano w Ostródzie zaprowadzono nas do Arbeitsamtu. Było nas wszystkich ok. 100 osób. Jeden był taki co jechał naprawdę dobrowolnie. Był to starszy człowiek co już pracował w Niemczech w okresie pierwszej wojny i było mu dobrze.

W Urzędzie Pracy odbywał się handel niewolników. Największe wzięcie mieli ludzie ze wsi. Na nas nie było chętnych. W końcu zostało nas trzech. Poszedłem do biura i łamanym językiem nie-

mieckim zapytałem: Co z nami będzie? Urzędnik dość grzecznie odpowiedział, że ktoś ma po nas przyjechać i żeby czekać. Więc czekaliśmy.

Po jakimś czasie na salę wkroczył niewielkiego wzrostu mężczyzna. Wypytywał nas co kto umie, po ile mamy lat itd. Do mnie powiedział, że ja pójdę do niego. Widocznie wybrał mnie dlatego, bo byłem największy a do tego zdradziłem się, iż nieco znam język niemiecki. W tym Arbeitsamcie to odbywał się prawdziwy handel niewolników. Jeżeli ktoś czytał książkę "Chata wuja Toma", to tak tam było.

Miasto Ostróda ( n.Osterode ) było czyste, pełne ludzi, ładnych wystaw. Młodzież szła ze szkół i przyglądała się nam. Bauer zostawił nas w zajeździe u Piątka, a sam poszedł na miasto. Do swojej wsi miał nas zawieźć bauer, który nazywał się Maschke. Jego wymowa była jakaś związana, gdyż mówił przez nos jak Francuz. Przed wyjazdem z Ostródy nasz Pan zaprowadził nas do jakiejś gospody i postawił każdemu z nas po ciemnym piwie. Było bardzo smaczne. Pojechaliśmy w kierunku wsi Rychnowo ( n.Reichenau ). Po drodze widzieliśmy jeńców Rosjan, którzy wracali z pracy na polu. Było to przy majątkach Grabin ( n.Gröben ) i Szyldak ( n.Schildack ). Zagadywaliśmy do nich. Do Rychnowa przybyliśmy już o zmierzchu i mój Pan zaprowadził nas trzech do karczmy Hermana Leipskiego. Karczma była pełna gospodarzy popijających piwo. Tu dowiedziałem się, że mój gospodarz jest we wsi władzą tzn. Ortsbauernführer - przywódcą rolników z ramienia partii NSDAP. O tym powiedział mi dezenter z armii polskiej, który pracował na majątku u Kniffki jako szwajcer tzn. taki który doił krowy.

Staliśmy wszyscy trzech w kuchni karczmy, a mój gospodarz co

jakiś czas przyprowadzał gospodarzy i pokazywał nas jak jakieś okazy. Karczmarka Leipska przez te parę godzin nie pozwoliła nam abyśmy usiedli.

Tu w karczmie dokonał się nasz ostateczny rozdział po gospodarzach. Władek Gałaś pozostał na miejscu u karczmarza Hermana Leipskiego. Był tam już jeden chłopak Rysiek spod Ciechanowa, który przebywał już od 1939 roku.

Mój brat Stanisław został przydzielony do sołtysa Gustawa Luki. Nazwisko jego pisało się prawidłowo Lucka. Mój gospodarz zabrał mnie do siebie. Trafiłem do typowo hitlerowskiej rodziny. Gospodarz nazywał się Otto Bruckert. Z ramienia partii NSDAP piastował godność Ortsbauernführera tj. przywódcy miejscowych rolników. Należał do SA, ale nigdy w żółtym uniformie nie chodził. Syn nazywał się Helmut i był ode mnie 2 lata starszy. Należał do Hitlerjugend. Córka Ela była ode mnie 2 lata młodsza i należała do BDM ( Bund Deutscher Madel ) tj. Związek Niemieckich Dziewcząt. W związku z tym w latach późniejszych została przywódczynią - Scharführerin. Bauorka Marta Bruckert z domu Tułodziecka należała do jakiegoś NS Frauenschaft.

Gospodarz mój miał trzy konie, sześć krów, kilka cielaków i jałówek oraz kilkanaście świń. Ziemi i lasu było 93 morgi. Muszę jeszcze dodać, że druga córka Irmgard to dopiero przy mnie zaczęła chodzić do szkoły. Gdy gospodarz przyprowadził mnie do siebie, to gospodyni zaraz dała mi kolację tj. chleb z masłem i serem żółtym oraz kawę białoną, ale bez cukru. Nocleg dostałem na strychu, gdzie było siano i jakieś owcze skóry. Gdyby nie mój ruski płaszcz kolejowy, to bym miał zimno. W tą pierwszą noc było mi bardzo smutno i gorzko popłakałem się.

Wczesnym rankiem gospodyni głośno mnie zawołała " Na Ju-

lius, los aufstehen. Kuhe melken.". To znaczyło, że trzeba iść doić krowy. Dlaczego przez parę tygodni wołali na mnie "Julius" tego nie wiem. Widocznie dlatego, że moje nazwisko było do tego imienia podobne. Krowę jakoś wydoiłem. Miałem w tym małą praktykę, bo jak we wrześniu 1939 roku przyszli do nas Sowieci to matka nasza była na tyle przewidująca i wiedziała co się święci, że kupiła kozę. Ta koza dla rodziców to był cały ratunek w okresie wojny.

Na gospodarce zostałem głównie przydzielony do krów. Doiłem wyprowadzałem na paśniki albo przywiązywałem je na łańcuchach na łące. Przyprowadzałem s powrotem. Zbierałem ziemniaki za maszyną. Odbierałem słomę przy młócce. Wywoziłem obornik. Czyściłem konie. Scielilem słomę dla bydła i koni, i robiłem wiele innych gospodarskich prac.

Pracowałem również z Helmutem w lesie przy przygotowaniu drewna na zimę. Potem Helmut poszedł do Ostródy na kilkumiesięczną szkołę rolniczą, przez co ja awansowałem do prac przy koniach. Teraz było mi lżej. Po szkole Helmut poszedł do Wehrmachtu. Rekruta miał w Płocku, a potem poszedł na Wschodni Front. Pozostałem więc przy koniach. Co 10 dni wypadało mi jechać z mlekiem do mleczarni do Frygnowa. I tak biegł dzień za dniem. W niedziele spotykałem się z bratem i innymi chłopakami, którzy byli tu już od 1939 roku. Zbieraliśmy się u któregoś w sztubie, w lesie lub na łące. Nieraz pogonił nas żandarm, bo takie zbiórki były zakazane. Ale były i zebrania nakazane dla obcokrajowców. Za mojej bytności w Rychnowie były dwa razy takie zebrania w Szyldaku. W 1941 roku były omawiane sprawy porządkowe i dyscyplina obowiązująca obcokrajowców. Omawiano sprawę noszenia litery " P " i znaczka " OST ". Drugi raz było zebranie rów-

nież w Szydaku. Tematem był mord oficerów polskich w Katyniu.

1  
Jeszcze trochę wspomnę o zwierzętach. Gdy we wrześniu 1941 roku Bauer przyprowadził mnie do siebie to tam była bardzo ostra suka. Myślałem w pierwszej chwili, że mnie rozerwie, ale już po paru dniach mogłem ją bez obawy tarmosić za uszy. Przy zaganianiu krów była niezwykle pomocna. Takie to było zmyślne stworzenie. Patrzyła uważnie w oczy i wystarczyło tylko wyciągnąć rękę, a już wiedziała z której strony ma zaganiać bydło. Z koniami też szybko się zaprzyjaźniłem. Gdy widziały mnie z daleka to kiwały głowami, rżały i grzebały przednimi nogami. Z posiadanych krów to jedna była jakby ich przywódczynią. Do niej zwykle doczepiałem inne i prowadziłem na łąkę. Jeżeli ją czasem uderzyłem różgą, to z takim wyrzutem patrzyła na mnie swoimi mądrymi oczami jakby mówiła: "Dlaczego mnie uderzyłeś?, Co ja ci zrobiłam?, Czym zawiniłam?".

W 1981 roku na 40-lecie mojego przybycia do Rychnowa w liście specjalnym do dzieci mojego bauora mieszkających obecnie w RFN tak napisałem: "Szukałem u was jakiegoś zrozumienia, współczucia a może przyjaźni. Tego nie znalazłem. Zwróciłem się więc do zwierząt i z nimi było mi lepiej". Tu jeszcze dodam, że mój gospodarz w 1939 roku był na wojnie z Polską i jako zdobywcę przyprowadził konia Siwka, który był moim ulubieńcem. Oprócz tego zdobył siodło kawaleryjskie i trzewiki wojskowe podbite gwoździami.

Odbiegnę trochę od tematu. Warmia i Mazury były już zajęte przez wojska sowieckie. Był styczeń 1945 roku. I tak jak rok 1978 był rokiem bez pszczoł, tak wiosna 1945 roku była bez psów, kotów i bez bocianów. Rebiata strzelali do wszystkiego co się poruszało. Bardzo przykro było patrzeć na zastrzelone na swoich

gniazdach bociany. W górę sterczały tylko skrzydła lub nogi. Może bociany były faszystowskie? Był taki film pt. "Sami swoi" jest tam scena jak Pawlak z Kargulem spierają się o to, u którego z nich ma dyżurować kot. Nie było w tym wielkiej przesady.

No, ale wracajmy do porządku. Lata bieły. Wojska niemieckie jakoś nie mogły zająć Moskwy. Mało tego cofnęły się o jakieś 200 km. Syn bauora zaczął pisać coraz smutniejsze listy. Nie był to już ten dzielny Hitlerjunge, który nie mógł się doczekać wcielenia do wojska. Chciał koniecznie zdążyć wziąć udział w wojnie. Potem był Stalingrad. Pamiętam, że jeden z gospodarzy /żołnierz/ będąc na urlopie z frontu powiedział iż "jak żołnierz niemiecki idzie do przodu to idzie, ale jak zaczniesz odstępować to już koniec". Moi baorzy byli coraz grzeczniejsi. Świadczyć o tym może choćby to, że na Gwiazdkę nie dostawałem już czapki, czy krawata, ale były dobre wojskowe buty, kupa ciasta i słodyczy, a gospodyni własnoręcznie zrobiła dla mnie z wełny skarpety i rękawice.

Nadszedł rok 1944. Dotychczas ja i brat nie mieliśmy od swoich bauorów urlopów. Inni chłopcy co przybyli z bliższych stron jeździli nawet co roku na urlopy. Ale przyszedł czas i na nas. Dostaliśmy urlopy w okresie od 31 stycznia do 13 lutego 1944 roku. Sprawiliśmy rodzicom swoją wizytą wielką niespodziankę. Robiliśmy w Wołkowysku w arbeitsamcie starania aby zostać w domu, ale to było nie do załatwienia. Wróciliśmy do swoich gospodarzy, czym wywołaliśmy trochę zdziwienia, bo Niemcy myśleli, że nie wrócimy lecz pójdziemy do partyzantów.

Na froncie było coraz gorzej. Rosjanie weszli na tereny Prus Wschodnich. Pierwszą zajęta miejscowością była wies Nemmersdorf. Doszło tam do rozmaitych zbrodni i gwałtów. To co się tam

działo było opisane w "Osteroder Zeitung". Ilu Niemców było rozstrzelanych tego nie pamiętam. Pogwałcone kobiety leżały w ostródzkim szpitalu.

Bliskość frontu dotknęła i mnie. Zostałem wysłany na akcję kopania okopów. Podejrzewam, że Bruckert wysłał mnie zamiast sam jechać. Na okopy wyjechałem w dniu 1-go sierpnia 1944 roku. Do Ostródy przyjechałem wozem, a potem jechaliśmy pociągiem w wagonach towarowych. Po drodze dowiedzieliśmy się od Niemców, że w Warszawie wybuchło powstanie.

Przyjechaliliśmy do miejscowości Biała Piska (n. Gehlenburg - Bialla). Szliśmy parę kilometrów. Nocowaliśmy w lesie. Legowisko sobie zrobiłem na gałęziach i całkiem dobrze wyspałem się. Następnego dnia doszliśmy do wsi <sup>Sch</sup> ~~Szwidern~~ <sup>- Świdry</sup> i tam zakwaterowaliśmy w stodołach. Wioska była oddalona o 1 km. od granicy polskiej i po drugiej stronie było już widać polskie domy. Niemcy byli razem z nami i również nocowali po stodołach. Do pracy maszerowali trójkami z łopatami na ramieniu. Pierwsi szli Niemcy, a potem obco-krajowcy. Nad kolumnami rozlegał się donośny zharmonizowany śpiew. Ponieważ u mojego bauora bardzo często śpiewano więc chcąc niechcąc nauczyłem się i ja niemieckich piosenek. Teraz to mnie przydało się i jak głupi daniem się hajli, hajlo. Nawet chłopaki dziwili się skąd ja to znam. Stare chłopcy śpiewali pieśni z okresu pierwszej wojny światowej. Tych pieśni raczej nie znałem. Początkowo to wszystko miało posmak przygody harcerskiej. Wyżywienie było dość możliwe. Kopaliśmy tam w tych Świdrach tylko rowy strzeleckie. Z czasem na apelach Niemcy zaczęli narzekać na wyżywienie, że jest "knapp", czyli skąpo. I tu muszę opisać jak na te skargi zareagował nasz komendant - Zugführer. Był to właściciel młyna, gdzieś spod Ostródy. Gdy my poszliśmy

na nocleg do stodół, komendant swoim samochodem pojechał do domu i wrócił z dwoma workami kaszy, którymi znacznie poprawił nasze wyżywienie.

Potem kopaliśmy okopy koło Mikołajek. Z Mikołajek szliśmy piechotą 17 km do Rynu i potem jechaliśmy wąskotorówką do majątku Sławkowo (Reimsdorf).

Tu byliśmy około jednego tygodnia. Od Niemca Nagla z naszej wsi Rychnowo dowiedziałem się, że tu w lasach siedzi Hitler, i że tu jest die Hauptquartier, czyli Kwatera Główna. Pewnego razu przyszedł również jakiś SS-man, który miał na rękawie czarną opaskę z napisem "Sonderdienst", rozmawiał z nami dość grzecznie, tak że odważyliśmy mu się poskarżyć na słabe wyżywienie, ale nasze skargi zbył żartem, że gdybyśmy dostawali dużo dobrego jedzenia to by nam porosły brzuchy i w ogóle nie chcielibyśmy pracować.

Tu w Sławkowie często mieliśmy alarmy lotnicze. Sowieckie samoloty pojawiały się dość często. Na alarmy to nie zwracaliśmy uwagi, ale raz, gdy staliśmy rano w kolejce do kuchni polowej po kawę rozległ się gwałtowny ogień artylerii przeciwlotniczej. Strzelały działa od strony kwatery. Potem w okolicy Kwidy, niezbyt wysoko ukazał się rosyjski samolot. Teraz wzięły go pod ogień działa kalibru 88 mm stojące koło wsi Poganowo (n. Bürgersdorf), oraz działa 20 mm z lotniska. Samolot był cały w dymie i ogniu, ale leciał. Z zapartym tchem patrzyliśmy na ten pojedynek, a było nas paręset obcokrajowców i kilkudziesięciu Wachmanów. Potem odezwała się jeszcze ciężka artyleria z Salpiku. Ogień był coraz rzadszy, aż wreszcie umilkł. Wachmani puszczały głowy, a my odetchnęliśmy. Taki był koniec tego pojedynku.

Innym razem był taki przypadek. W czasie marszu jeden z ruskich chłopaków wyraził swoją opinię, że te kopanie rowów to nic nie da i to jest darmowa robota. Maszerujący z nim Ukraińiec doniósł o tym SA-manowi, który dał w zęby temu ruskiemu. Potem jeszcze drugi SA-man dołożył mu.

Tu w Sławkowie zostaliśmy odłączeni od niemieckich baorów. Teraz warunki nasze znacznie się pogorszyły. Opuściliśmy Sławkowie i pieszo poszliśmy w kierunku Rynu. Zakwaterowaliśmy się we wsi Krzyżany (n. Steinwalde). Tam dopiero poznaliśmy co to jest głód i ciężka praca. Kopaliśmy rów przeciwczołgowy. Na dwóch ludzi była norma do wykopania dwa kroki, które odmierzał SA-man. Rów był szeroki na 7 metrów i głęboki 3,5 metra. Wachman tylko szedł i krzyczał: "zwei Schritt, zwei Mann" tzn. "dwa kroki dwóch chłopów.

Raz był taki przypadek. SS-man w czasie rozmowy z jakąś młodą baorką w pewnej chwili chwycił ją w objęcia i obrócił się z nią w koło. Tej kobiecie nie spodobało się to i uderzyła go dłonią w twarz. Ja szybko zagłębiłem się do rowu, żeby nie być świadkiem tej jego kompromitacji. SS-man obrócił to wszystko w żart, ale najbliższego chłopaka bez powodu pobił kijem. Ten chłopak miał 15 lat i pochodził z Ostrołęki. Jak się go pytało skąd on jest to odpowiadał, że z Ostrolenka Kreis Scharfenwiese

Pewnego razu już po powrocie z pracy szedłem wioskową ulicą i przechodziłem koło domu gdzie odbywała się odprawa wachmanów. Słyszałem jak przeprowadzający odprawę SS-man wrzeszczał na SA-manów, iż w stosunku do nas są nie dość srodzy są "zimperlich", tzn. robią zbyt wielkie ceregiele. "Trzeba strzelać" - tak krzyczał. To co usłyszałem dało mi wiele do myślenia. Przyznać trzeba, że wachmani, którzy byli rolnikami z pogranicza

nie okazywali zbyt wielkiej chęci do strzelania zwłaszcza, że Armia Czerwona była już na terenach Prus Wschodnich.

Raz kopaliśmy rów koło gospodarki baora. W ogrodzie oddalonym od nas jakieś 50 metrów widać było dojrzałe śliwy i jabłka. Paru z nas wykorzystało nieuwagę wachmana i wpadło do ogrodu. Rwaliśmy owoce i pakowaliśmy do kieszeni. Był głód, a tu taka gratka. W pewnym momencie z domu wyszła baorka. Chłopaki prysnęli do rowu, a ja zostałem przez swoją nieuwagę. Spóźniłem się. Byłem pewien, że baorka narobi krzyku, wyzwie mnie od Polaków i wezwie wachmana, ale ona popatrzyła na mnie - nasze oczy spotkały się - i spokojnie półgłosem powiedziała: "Ja, ja ich verstehe. Hunger", czyli "tak, tak rozumiem. Głód". Szybko uciekłem do rowu.

W latach 60-tych pojechałem swoim "Komarkiem" do Rynu i do Krzyżan. Odwiedziłem znane mi tereny, ale tej gospodarki, gdzie kradłem śliwki nie znalazłem. Chciałem tej kobiecie przypomnieć się i podziękować. Nie wyszło mi, no trudno.

A raz w Krzyżanach to ładnie zahandlowałem. To było tak. Co parę <sup>tygo-</sup> dni otrzymywaliśmy po paczce tabaki. Ja jako niepalący zbierałem tytoń do worka. Pewnego razu przybiegł do mnie zaafektowany kolega z zapytaniem, czy mam tabakę, bo jest niemiecki żołnierz, który chce zrobić zamianę na chleb. Oczywiście to była dla mnie niebywała okazja. Chwyciłem worek i pobiegliśmy obaj przez wioskę. Stałem przed żołnierzem, którego pokazał mi kolega i zameldowałem się krótko "Zum Befehl Herr Gefreiter". Prawdę mówiąc to on wcale nie był gefreitem tylko starszym strzelcem, ale niech mu tam. Żołnierz zapytał mnie "Hast du Tabak?". Odpowiedziałem "Jawohl" i wyciągnąłem do niego paczkę. On wręczył mi cały bochenek żołnierskiego chleba. Mój Boże jaki

ja byłem szczęśliwy. Cały bochenek. Przez jakiś czas nie będę dożywiał się surową kapustą, burakami cukrowymi, czy też łuszczonym ziarnem. Takiego handlu to jeszcze nigdy nie zrobiłem. Z tego też wyciągnąłem naukę, że papierosów nie trzeba palić.

Już szedł siódmy tydzień jak byłem na akcji kopania okopów. Byłem zmęczony, ciągle nie dożywiony, zawszony i brudny. Ale wyraźnie zbliżał się koniec tej udręki. Zaczęli przybywać nowi robotnicy. Potem uformowano z nich tzw. Zugi, czyli kompanie, które szły do roboty. Ponieważ przybyli prosto od baorów to wszyscy byli wyżarci i rumiani na twarzy. Do pracy i z pracy szli rażno ze śpiewem. Na czele dwóch pierwszych trójek szli SA-mani, a potem kompania obcokrajowców oczywiście przeważnie Polaków. Śpiewali przeważnie jak to "Wyganiała Kasia wołki, rozwidniało się...". SA-manom podobało to się. My "starzy" przyglądaliśmy się im z pobieżaniem i z pewną dozą, jak to mówią Francuzi "Schadenfreude" wiedząc, że humor im opadnie, gdy skończą się przywiezione zapasy i obleżą ich wszy.

Na koniec pracy dostaliśmy wypłatę po kilkadziesiąt marek, bo Ordnung muss sein, uformowaliśmy kolumny i ruszyliśmy pieszo w kierunku Rast<sup>m</sup>enborka. Doszliśmy do przystanku wąskotorowego Hinzehof (Zalesie Kętrzyńskie). Obok była dość wysoka góra, która nazywała się Eärenberg, czyli Góra Niedźwiedzia. Góra ta miała związek z herbem miasta Rast<sup>m</sup>enbork. Tam na gorze zbierała się niemiecka młodzież, paliła ognisko i śpiewała różne pieśni. Prawdę mówiąc ładnie to wyglądało.

Tu muszę jeszcze wtrącić, że z okolic Sławkowa mieliśmy dobry wgląd na lotnisko wojskowe leżące między Kwidą, Wajsznorami i majątkiem Globie. Na lotnisku były przeważnie samoloty transportowe, trzy motorowe Junkersy. Myśliwców było tylko parę

sztuk . Żadnych walk powietrznych nie widziałem.

Wracam do przerwane go wątku. Na przystanku wąskotorowym Hinzenhof były podstawione wagony osobowe i towarowe. Do wagonów osobowych kazano siadać Francuzom, Belgom, Holendrom. Reszta hołoty, czyli my Polacy, Rosjanie i inni Słowianie zajęli węglarki. Pociąg wąskotorowy był dość długi, lecz jazda odbywała się sprawnie. Funkcje hamulcowych pełnili chłopaki w wieku około 15 - lat - takie Hitlerjungi. Siedzieli na siodełkach hamulcowych urządzonych przy wagonach towarowych i obsługiwali hamulce ręczne na sygnał podany przez maszynistę parowozu. To wszystko podobało mi się. Kto to by pomyślał, że po niedługim czasie /od 1949 roku/ ja będę na tej kolei wąskotorowej pracował i dojdę do stanowiska zawiadowcy stacji. Na wąskim torze pracowałem 22 lata.

Po przyjeździe pociągiem wąskotorowym do Rastenburga zajęliśmy teren naprzeciw stacji kolejowej, tam gdzie dziś sprzedają deski. Tam pracował tartak, leżały bale dźwicy. Na jednym kłocu drewna oparty o łopatę siedziałem i ja. Przed wejściem na plac tartaku była brama, a nad nią szyld z napisem "Dampssägewerk Gebrüder Reschke. Rastenburg". po niedługim czasie załadowaliśmy się do podstawionych wagonów osobowych /normalnotorowych/ i pojechaliśmy w kierunku Olsztyna. Do Ostrody przybyliśmy w nocy i kilkunastu z nas udało się pieszo w kierunku na Grabin, Szydłak i Rychnowo. Po drodze zatrzymała nas Landwacha złożona z baorów i chłopców z Hitlerjugend. Byli uzbrojeni. Wytłumaczyliśmy im skąd jesteśmy i wymieniliśmy nazwiska naszych gospodarzy. Puścili nas wolno. Moi gospodarze ucieszyli się z mojego powrotu, bo beze mnie było im dość ciężko.

Zacząło się wszystko jak dawniej. Praca w polu, w chlewie, na łące i częściowo w lesie. Co dziesiąty dzień jechałem z mle-

kiem do mleczarni we Frygnowie. Te wyjazdy z mlekiem to bardzo lubiłem, gdyż to był właściwie taki spacer, przejażdżka.

Po powrocie z okopów mimo dobrego wyżywienia u mojego baora Otto Bruckerta ciągle byłem nie dojedzony. Wobec tego postanowiłem dodatkowo dożywiać się we własnym zakresie. Ponieważ kanny z mlekiem z wieczornego udoju stały pod oknem mojej sztuby, gdzie spałem, więc uszykowałem sobie słomkę bez kolanka i wstając rano do futrowania, czyli karmienia koni popijałem sobie z wierzchu smietaną nie naruszając powierzchni mleka. Mleko w konwiach osiadało równo i baorka nie miała żadnych podejrzeń. Raz nawet słyszałem jak Ela mówiła do swojej matki, że ten nasz Wicek wrócił z okopów taki chudy, a jak szybko się poprawił.

Tak więc roboty polne szły swoim normalnym trybem. Już były wykopki i po wykopkach. Trzeba było odstawiać ziemniaki na kolej do stacji Gierzwałd (n. Geierswalde).

Któregoś dnia pojechałem ze swoim baorem z ziemniakami, które po zważeniu w Bauern Genossenschaft trzeba było załadować do wagonu. Na stacji w Gierzwałdzie, w czasie gdy ja dokonywałem rozładunku ziemniaków do wagonu mój gospodarz był zajęty ożywioną rozmową ze znajomymi. W tym czasie widziałem, że w kierunku na Olsztynek dość wysoko leciał niemiecki dwumotorowy Kampfflugzeug. W okolicach Olsztyńska, a dokładnie w Gryżlinach było lotnisko wojskowe. Widok lecącego samolotu niezbyt mnie interesował, bo to był codzienny widok. Samolot zaszedł za wagon i znikł mi z pola widzenia. W pewnym momencie uwagę moją zwróciło to, że dotychczasowy, miarowy, normalny warkot motorów zaczął być przerywany, a w końcu zamilkł. Następnie nastąpiła cisza, a po jakimś czasie w górze słychać było narastający szum, wycie, przerażający ryk i wreszcie huk podobny do eksplozji bomby duże-

go kalibru, tylko nieco głuchy. Spłoszone konie siadły na zadach. Niemcy schowali się do rowu. Mój tylko krzyknął: "Wicek, halte die Pferde fest". Wszyscy byli pewni, że to nalot powietrzny. Ja też nie wiedziałem co się stało. Ale następnych wybuchów nie było. Wkrótce ktoś, kto widział co się stało dał znać, iż to spadł samolot. Baorzy powyłazili z rowu i zawstydzeni otrzepywali się z suchej trawy. Mój gospodarz kazał mi samemu jechać do domu, a sam udał się na miejsce katastrofy. Ja wyjeżdżając od strony stacji na szosę z odległości około 200 metrów widziałem sterczący w górę ogon kadiuba ze swastyką na sterze. Jadąc powoli między Gierzwałdem a Rychnowem minąłem się z wojskowym Łazikiem, w którym siedzieli oficerowie lotnictwa. Łazik jechał pełnym gazem tak, że dla ostrożności zjechałem na skraj szosy. Droga nie była tak szeroka jak dziś i tylko w 2/3 szerokości była wyasfaltowana.

Gospodarz wrócił po paru godzinach z sąsiadem i z ożywieniem opowiadał rodzinie co się stało. Często używał słowa "sabotaże". Po kilku dniach jadąc z mlekiem do Frygnowa stwierdziłem, że wrak samolotu został usunięty. Słyszałem również od chłopaków, iż silniki tak głęboko wbiły się w łąkę, że nie można ich było wyciągnąć, tak że pozostały w ziemi do dziś. Ten wypadek odbił się szerokim echem w całej okolicy. To był zły omen. Co zresztą miało się sprawdzić w najbliższych miesiącach. Okazało się, że i niemieckie samoloty mogą spadać nawet i bez walki.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Moi gospodarze byli ewangelikami, tak że u nas nie było żadnej wigilii. Była nieco lepsza kolacja, czyli jak oni mówili wieczerza. Otrzymywało się również podarunki od Weinachtsmanna.

Na pierwsze Boże Narodzenie w 1941 roku dostałem krawat. Na dru-

gie ciepłą czapkę. Następnie spodnie, ale noszone. Ale na Gody 1944 roku baorka sama mi zrobiła wełniane skarpety i rękawice. Dostałem wojskowe buty - noszone, ale w bardzo dobrym stanie podbite gwoździami oprócz tego dużo kuchów, czyli ciasta. Zdawałem sobie sprawę, iż to sytuacja wojenna spowodowała takie zmiany w stosunku do mnie.

Któregoś dnia, gdy Bruckerta nie było w domu baorka zawołała mnie do chlewa i zapytała, czy ja potrafię zaszlachtować świnie. Z wahaniem odpowiedziałem, że potrafię. Widziałem przecież jak u rzeźnika Goritza pracujący u niego Polak załatwiał świnio-bicie. Przygotowałem nóż i topór, którego obuchem trzeba było ogłuszyć świnie. Przygotowałem również dość dużo świeżej sioły. Baorka powiedziała żebym zaczynał a ona weszła na ziłób, aby uważać, czy ktoś obcy nie będzie do nas jechał. Wszedłem więc do buchty - zagrody i przymierzałem się jak tu najlepiej rąbnąć obuchem siekiery w świński łeb. Nagle gospodyni przeraźliwie krzyknęła "Wizek doch nicht - Wachmeister". Wyskoczyłem szybko z zagrody i wziąłem się za jakąś pracę. A tu rzeczywiście wjeżdżał już na rowerze żandarm z Gieřrwałdu. Coś tam porozmawiał z baorką siadł na rower i pojechał. Musiał jednak coś zmiarkować, bo zaglądał do chlewa. Gospodyni była wyraźnie przełęczniona i powiedziała do mnie, że szkoda, bo jak przyjdą Ruskie to i tak wszystko zezrą. Muszę dodać, że za nielegalny ubój groziła kara śmierci. W ten sposób nie tylko świnia uratowała swój żywot, ale być może i ja nie zgniłem w obozie karnym w Działdowie (Soldau). Gospodarz wrócił wieczorem, ale do tego tematu nie wracał tylko uśmiechał się pod nosem.

Jeszcze chciałbym wspomnieć, że urlop wypoczynkowy ja i brat dostaliśmy w okresie od 31 stycznia do 13 lutego 1944 roku.

Urlop był dla mnie szczególnie ważny, bo mogłem usunąć od trzech lat piekielnie mnie bolący ząb. Z urlopu wróciliśmy w terminie co do pewnego stopnia zdumiało gospodarzy.

Raz rozmawiałem z sąsiadem - chłopakiem z Hitlerjugend. Roztaczał przede mną swoje zamiary powojenne. Miał zamiar wyjechać na Ukrainę. Tam wziąć ziemię i Ruskich do pracy i być panem. Pytał mnie co ja będę robił. Ja ze swej strony powiedziałem, że po wojnie to wezmę tą gospodarzkę, na której obecnie pracuję, ożenię się z Elką i też będę panem i gospodarzem. Willi Lemke, bo to był ten chłopak nie omieszkał przekazać moim baorom jakie to są moje zamiary na przyszłość. Miało to swoje reperkusje w niedalekiej przyszłości.

I tak zbliżał się czas rosyjskiej ofensywy zimowej, która rozpoczęła się dnia 12 stycznia 1945 roku. Na szosie od strony Olsztyńska zaczęli pojawiać się pierwsi uciekinierzy. Potem sprzęt wojskowy, ciągniki z działami i samochody. Mój gospodarz mimo swojej naiwności wysłał mnie do kowala Wilhelma Kubowskiego, aby przekuć konie. Konie przekuł pracujący u niego jeniec wojenny Robert Vincent pochodzący z południowej Francji, z departamentu Montelimahr. Podkowy otrzymały też nowe hacie, bo stare były już dość zdarte.

U Kubowskiego pracował Polak spod Walii, który przyjechał jednym transportem z nami. W lutym 1945 roku spotkaliśmy go w Białymstoku. Pracował w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego.

Około 17 stycznia 1945 roku był pierwszy nalot na Gierzwaid. Ten nalot można było częściowo obserwować z Rychnowa. strach padł na Niemców. Wojna była tuż tuż. Najbardziej bała się Elka. Po nalocie staliśmy razem na podwórzu. Na razie był

- 19 -

spokój. Daleko i dość wysoko patrząc w kierunku Domkowa leciał w kierunku południowym chyba myśliwski samolot i ciągnął za sobą białą smugę dymu. Elka zaczęła skakać i klaskać w ręce wołając "er brennt" (on płonie). Ja z oburzeniem odparłem, że to są tylko spaliny z rur wydechowych. Ale niebawem dym stał się ciemniejszy, buchnęły płomienie; odleciały jakieś blachy a potem oderwała się jakaś postać, nad którą wkrótce rozwinął się spadochron. Samolot leciał pionowo w płomieniach do ziemi. Spadł gdzieś w okolicach Domkowa.

Z Ostródy przyjechał na motorze jakiś posłaniec z opaską hitlerowską na rękawie. Prawdopodobnie przywiózł pismo dotyczące ewakuacji. Do naszej gospodarki przybyło kilkunastu żołnierzy Wehrmachtu na nocleg. Mieli ze sobą samochód. Żołnierze ponagłali do wyjazdu. Widocznie znali bliższe szczegóły dotyczące ogólnego położenia. Walki toczyły się prawdopodobnie w okolicach Niborka - Nidzicy.

Na drugi dzień przystąpiliśmy do budowy budy na wozie. Deski mieliśmy. W tym dniu około południa był nalot trzech samolotów II na szosę koło Szydłaku. Gospodyni piekła chleb, zaczęła bić drób i gotować go.

W piątek dnia 19 stycznia pod wieczór udaliśmy się w drogę. Szosa była przepełniona na całej szerokości. Reflektor nad obozem jeńców wojennych w Olsztynku nie palił się już. Ja zgarnąłem do worka swoje najpotrzebniejsze rzeczy i przewiesiłem go na kłonicy, bo wóz był tak załadowany, że nie można było go nigdzie utknąć. Olga też zabrała co mogła ze swoich rzeczy. Baorka rozpaczliwie płakała wołając "so viel Arbeit und alles um sonst" (tyle pracy i wszystko na darmo). Ja do pewnego stopnia odczuwałem "Schadenfreude" tj. radość z czyjś nieszczęścia. Baorki

nie lubiłem, bo była wredna a przecież miała w sobie trochę polskiej krwi. Jej panięskie nazwisko było Tułodziecka. Brat jej, który pracował w Grabinie zniemczył swoje nazwisko i nazywał się teraz Gustaw Tulon. Gdy dojeżdżaliśmy do szosy ostródzkiej to gospodyni rozwrzeszczała się, bo nie widziała mnie. Wołała: "Gdzie jest ten Wicek?, Gdzie się on pęta?, Zreć to on potem będzie chciał". Na to Elli wstawiła się za mną i odparła "Czego krzyczysz? On idzie przy wozie i uważa, żeby coś nie spadło". Tak też rzeczywiście było.

Po 20-tu latach po odnalezieniu dzieci baora w RFN przypominałem Elce to wydarzenie.

Z trudem wjechaliśmy na zatłoczoną szosę. Jechaliśmy za gospodarzem Göritzem, z którym jechał wiejski nauczyciel Herr Baunge /jego nazwisko wymawiało się Bągze/ był członkiem NSDAP.

Po drodze był jeszcze taki wypadek, że wojskowy samochód rąbnął skrzynią w wóz Göritza. Nic się nie stało. Było tylko trochę podnieconego gadania.

Przez pewien czas jechała obok nas jakaś lepsza pani. Jechała karetą, a powoził woźnica /kuczer/. Bagażów to prawie nie miała. Tylko kurczowo ścisnęła małą walizeczkę w firmie szkatułek.

Trzeba też wspomnieć o kolumnach jeńców sowieckich, którzy tak szybko rwali do przodu, że starsi wiekiem wachmani ledwo nadążali za nimi. Jeden ruski kombajnista widząc co się dzieje zostawił swego gospodarza i sam na własną rękę uciekł, aby tylko ucieść przed wyzwolicielami.

Przejeżdżając przez Szydłak oglądałem skutki wczorajszego nalotu. W rowie leżały martwe konie i było kilka rozbitych wozów.

Dojechaliśmy do Grabina. Tu Elka pobiegła do mieszkania wujka Gustawa Tulona, ale było ono opuszczone. W Grabinie, a potem już i poza Grabinem słychać było bardzo bliski ogień artyleryjski rozlegający się z lewej strony z za wzgórza. Te strzały były takie metaliczne i wierzące uszy. To był Störungsfeuer - ogień nękający. Heinz Suchard / dawniej Schuzdziahra/, który pracował u mojego baora, bo robił kilkumiesięczną, obowiązkową służbę pracy /Arbeitendinst/, przyniósł skądś wiadomość, że to są już rosyjskie czołgi. Został za to przez baorów wysmiany, a szczególnie przez moją gospodynię. Bo niby jak oni tu się przerwali. A jednak Heinz miał chyba rację. Był to chłopak dwa lata ode mnie młodszy, bo urodzony w 1927 roku, inteligentny i grzeczny. Obecnie mieszka w Hannover Ricklingen Badenstatterstrasse.

Tu cofnę się w czasie o około jeden rok. W tym bowiem okresie przybył do nas Heinz na naszą gospodarkę. Przeważnie pracowaliśmy razem. Uczył mnie niemieckiego i niemieckich pieśni. Gospodarze jedli przy oddzielnym stole, a ja ponieważ było tam dość ciasno jadłem z Hansem i białoruską dziewczyną Olgą pochodzącą spod Bielska Podlaskiego. Tak więc przy lepszym stole siedzieli baorzy z dwiema córkami, a przy tym drugim Heinz, Olga i ja. Jedzenie było takie same.

Pewnego razu nabijałem się z Heinza, że on jest traktowany przez Bruckertów jak Polak, bo je razem z nami, a i jego prawdziwe nazwisko też nie jest niemieckie, bo Szusdziahra, a więc on jest prawie Polakiem. Ten chłopak opowiedział to wszystko matce, która następnego dnia przyjechała na kółku i zrobiła wielką drakę. Od tego dnia Heinz nie jadł już z nami. Ja miałem swego rodzaju Schadenfreude. Nieraz przekomarzaliśmy się z nim.

On wyamiewał moją polskość, a ja jego niemieckość. Takie gorące dyskusje kończyłem zwykle uwagą, że i tak dostaniecie od Ruskich w dupę. Heinz temu mocno zaprzeczał, bo Führer jest z nami.

Jak 19-go stycznia 1945 roku wyruszyliśmy na ucieczkę to przejeżdżając koło pałacu Kniffek widziałem jak Heinz gorączkowo ładował przez okno pałacu na wóz swoje rzeczy. Nie mogłem odmówić sobie przyjemności z w ciemnościach krzyknąłem "Hans Szusdziahra", na co on podniósł głowę i odkrzyknął "Ja, bin hier. Wer bist du?" Odparłem, że "Von Bruckert". Na to Heinz skulił się i więcej się nie odzywał. Wyczuł moją drwinę.

W czasie ucieczki bardzo pilnowałem, żeby nie zgubić brata, który jechał kilka wozów za nami. Był ze swoją baorką, która miała nazwisko Tertocha. Jechała z córką i dwoma małymi chłopakami.

No, ale wracajmy na szosę koło Grabina. Trwa wciąż ten nękający ogień z niewidzialnych dział. Od strony Ostródy nadjechał pojazd podobny do motocykla. Przód miał motocykla, ale zamiast tylnego koła były gąsienice, a nad tym nieduża platforma. Pojazd prowadził niemiecki żołnierz. Był bez płaszcza lecz w hełmie, a na platformie pół leżąc jechał Hitlerjunge w wieku około 16 lat. Pojazd ciągnął za sobą małe działko przeciwpancerne. Skręcił w pole tam skąd był prowadzony ogień artyleryjski. Potem ogień się wzmógł i dał się słyszeć terkot karabinu maszynowego. Następnie zapanowało wyraźne uspokojenie.

Tu wtrącam małą uwagę. Przed około 20-tu laty, kiedy jeszcze wychodził "Głos Olsztyński" jakiś historyk opisywał podejście wojsk radzieckich do Ostródy. Był tam opis jak to dwa czołgi przedarły się pod Ostródę z desantem 28-u automatczyków i jak przed instantem zostały zniszczone ogniem artylerii przeciwpancer-

nej, a desant został wybity. Tak, że ja być może jestem jedynym świadkiem, który coś o tym może powiedzieć.

Teraz do rzeczy. Jechaliśmy dalej. Przed Ostródą żołnierze opuszczali rów przeciwczołgowy, który dotychczas kopali. Ostróda była przepelniona uciekinierami. Znowu wzmógł się ogień artyleryjski. Widziałem leżące przy wozie konie po nogach których toczyły się ciężkie baorskie wozy. Na ulicach było jeszcze trochę ludności cywilnej. Widziałem jednego pana ładnie ubranego, który w kapeluszu i odznaką partyjną NSDAP w klapie chodził po ulicy. Na skraju ulicy leżał plik nowych gazet "Osteroder Zeitung", zapewne ostatni numer. Gazety nie przeglądałem, czego do dziś żałuję. Ciekawe co też tam jeszcze pisało.

Dzień był krótki. Zapadał zmrok. Wyjeżdżaliśmy z miasta w kierunku na Miłomiłyn (n. Li<sup>e</sup>bemühl). W czasie postoju rozbiłem drzwi jakiegoś mieszkania. Znalazłem w kuchni trochę cukru, którego się najadłem. Były jakieś sucharki i coś jeszcze. Na około trwał ostrzał artyleryjski. Dalej stałem przy wozie. Jakiś pocisk artyleryjski uderzył w wieżę ciśnień. Rozległ się rozpaczliwy krzyk w języku francuskim "Mon Dieu - Mój Boże". Potem wołanie umilkło. Jakiś podoficer rozgorączkowany wołał na pełny głos "Rudi Maschinengewehr - Rudi karabin maszynowy".

Jechaliśmy szosą na Miłomiłyn. Obok nas w dach domku jednorodzinnego trafił pocisk. Dach rozleciał się. Dojechalśmy do miejscowości Piławki (n. Pillauken). Tu był jakiś pensjonat, czy ośrodek wypoczynkowy. Tam Niemki zorganizowały kuchnię i gotowały kawę. Elka przyniosła imbryk gorącej kawy. Olga i ja napiliśmy się do syta co było bardzo ważne. Jechaliśmy dalej. Szedłem około 20 metrów przed wozem. W pewnym momencie z lasu wyszedł patrol czterech niemieckich żołnierzy, który skierował się wprost

na mnie. Podoficer z pistoletem w ręku skierowanym we mnie zapytał "Wo sind die Russen - Gdzie są Rosjanie?" Oniemiałem. Przeleciało mi przez myśl jak głupio przyjdzie mi zginąć i to teraz, gdy wszystko się wali. Pistolet był dalej wycelowany w moją pierś a ja milczę. W pewnej chwili żołnierz z tyłu odezwał się "Der versteht doch nicht Deutsch - On przecież nie rozumie po niemiecku". Tu mnie trochę ruszyła ambicja i mówię, że nie jest tak źle z moim niemieckim, ale gdzie są Rosjanie to lepiej spytajcie mojego baora, który jest Ortsbauernführerem we wsi Rychnowo. Może on coś wie o Rosjanach. Wermachtowcy zostawili mnie w spokoju, ale do gospodarza nie podeszli. Ja miałem cykorię, że tylko.

Byliśmy już parę kilometrów przed Miłomiynem, gdy od przodu rozpoczęła się gwałtowna strzelanina z karabinów i broni maszynowej. Stanęliśmy. Potem przyszła od przodu wieść, że "Die Russen sind schon in Liebenmühl - Rosjanie są już w Miłomiynie". Wymyśliłem sobie, żeby nie iść pieszo tylko postarać się ~~sobie~~ o konia i jechać wierzchem. Odszedłem od wozu ze 100 metrów w boczną drogę. Napotkane konie były jakies osowiałe, może chore lub głodne. Po drodze znalazłem dwie walizki. Pierwszą rozbiłem, bo była zamknięta na klucz. Była tam damska odzież. Przystąpiłem do rozbijania drugiej. Ta była nieco mocniejsza, ale wierzch w końcu odpadł. Leżał tam ładnie położony smoking czarnego koloru. A może był to frak? Był też czarny cylinder na głowę, a na wierzchu leżała główka od maszyny do szycia. Gdy tak byłem zajęty przeglądaniem zawartości naraz niedaleko mnie rozległ się tętent konia i jakies 15 kroków ode mnie zobaczyłem ruskiego jeźdźca z pepeszą przez pierś. Konik był mały i kudłaty. Przez moment patrzyliśmy na siebie. W końcu on odezwał się do mnie "A ty

kto?" Odpowiedziałem, że Poliak. Ubrany byłem w sowiecki granatowy szynel, a na <sup>piersi</sup> ~~nekawie~~ był przyszyty znaczek z literą "P". Zapytał, gdzie są Niemcy. Wskazałem ręką mówiąc "Wot oni", przez drzewa przeświecały się stojące na szosie fury. Tu muszę wtrącić, iż dwa lata chodziłem do radzieckiej szkoły tak, że z językiem rosyjskim byłem obznajmiony. Następnie zapytał czy są wojenni. Odpowiedziałem, że jest trzech, ale oni są bez broni, bo przyjechali z frontu na urlop i teraz razem z rodzinami uciekają. Ten Ruski to był młody chłopak - być może w moim wieku. Uważam, że przypadliśmy sobie do gustu. Więcej pytań nie zadawał tylko zawołał "Nabieraj dabra i walaj domoj". Zawrócił konia i znikł w tej przesiece, z której wyjechał. Ten kudłaty konik galopował szorując brzuchem po śniegu.

Nabieranie dobra nie było mi w głowie. Poszedłem do wozów i z zadowoleniem powiedziałem "Ich habe schon mit einem russischem Soldat gesprochen - Ja już z ruskim żołnierzem rozmawiałem". Wywołałem panikę. Część wozów skręciła w boczne drogi m.inn. i w tą, gdzie ja spotkałem się z Ruskim. Mój Bruckert stał na szosie. Był zmartwiony o klacz, która w tym tygodniu miała się ożrebić. Poszedłem na tył kolumny, żeby sprawdzić czy jest mój brat. Był ze swoją Tertochową i trojgiem dzieci. Wróciłem do swojego wozu i czekałem co to się rozegra. Baorka zawołała mnie na wóz sięgnęła po zapasy chleba i gotowanych kur. Dotychczas to skąpo wydzielala jadło. Tak się najadłem kurzego mięsa, iż w końcu powiedziałem, że więcej nie dam rady.

Od przodu pojawiło się trzech jeźdźców. To byli ruskie żołdacy na koniach na oklep. Jechali dość ostrożnie i krzyczeli "Uhr, Uhr", co oznaczało zegarki, zegarki. Zabierali zegarki jakie kto miał. Moja baorka chciała oddać budzik, ale żołnierz

machnął ręką i nie wziął. W końcu jak wracali z tego wypadu to jedną ręką prowadzili konia, pistolety maszynowe bełtały się im na piersiach, a w lewych rękach trzymali pęczki zegarków.

Podchodziły już masy wojska. Piechota, piechota na samochodach. Samochody amerykańskie. Wszyscy żądali zegarków, ale skąd tych zegarków brać. Mojej baorcy chcieli ściągnąć z palca złotą obrączkę, ale obrączka była prawie wrosnięta i nie dała się zdjąć. Tak, że ją zostawili. Niektórzy żołnierze chcieli chleba. Bruckertowa krajała solidne pajdy, które zachłannie zżerali. Gospodyni widząc to, odezwała się do Bruckerta jak też tam jest z naszym synem Helmutem na froncie. Gospodarz odpowiedział, aby się nie martwiła, gdyż jakoś sobie da radę.

Przed nami stała gromadka Niemców z naszej wsi. Jakiś солдат rewidował ich po kolei. U jednego z nich, którego nie znałem znalazł za paskiem spodni mały pistolet. Ryknął na niego "a eto czto?" Potem wziął go pod lewą rękę i zaprowadził na brzeg szosy. Tam podbił mu z tyłu kolana. Niemiec uklęknął. Widziałem, że będzie rozstrzelany. Przyszła mi do głowy taka głupia myśl, czy on padając wyciągnie ręce przed siebie, czy też ręce będą zwisały wzdłuż ciała. Padł strzał. Niemiec poleciał twarzą do rowu. Ręce miał wzdłuż tułowia. Część czaszki wielkości pół dłoni poleciała mi pod nogi, mózg również. Tu muszę wtrącić uwagę. Kiedyś myślałem, że mózg to jest krwawa miazga, a to jest właściwie tak bezkrwawa kasza. Mój bauer, który dotychczas głupawo uśmiechał się schował się w głąb budy i wyglądał z głębi wystraszony. Znając go na pewno myślał, iż tu wkrótce przyjdą nasze wojska i ruskich przegonią. Na ogół Niemcy w swojej naiwności myśleli, że powtórzy się rok 1914. Będzie jakiś drugi Hindenburg i się rozprawi z wrogami. Jeśli będzie ucieczka to tak jak w 1914 roku do

Miłomiyna i z powrotem. Po powrocie trzeba będzie odbudować i doprowadzić gospodarkę do porządku.

Baorka na razie mile uśmiechała się do żołdatów i była bardzo zdziwiona, że wszyscy oni są tacy młodzi i ciepło ubrani i że tylu ich jest. Przecież miliony ich było w niewoli.

Do tej grupki Niemców co stali przed nami podszedł jakiś żołdat i zaczął kolbą pepeszy bić znajomego gospodarza Nagla, który stracił na froncie trzech swoich synów. O Naglu już wspominałem. Był to dobry chłop. Byliśmy z nim razem na okopach. Zrobiło się mi go szkoda. Podszedłem do podoficera, który temu się przyglądał i powiedziałem mu, że to był charoszyj niemiec. Na to ten podoficer wrzasnął na mnie: " Nam adwokatow nie nada!".

Elka stała przerażona i uparcie patrzyła mi w oczy. Co też ona myślała? W pewnej chwili zawołała: " Mein Gott die Rote Fahne! - Mój Boże czerwony Sztandar!" Na samochodach były portrety Lenina i Stalina oraz rozmaite hasła: "Naprzód na Zachód! Bij faszystów! Hitler kaput! Niech żyje zwycięstwo!", a na jednym samochodzie było dziwne hasło: "Niech żyje Berlin!" Gromadzie Niemców tłumaczyłem te napisy z rosyjskiego na niemiecki. Na pytanie jednego żołdata skąd ja się wziąłem w Niemczech odpowiedziałem zgodnie z prawdą, iż przed czterema laty zostałem wywieziony przez Niemców na roboty przymusowe. I tu spotkałem się z zarzutem, że pomagałem przez cztery lata Niemcom. Trzeba było organizować partyzantkę, bo takich jak ja to nada strelać. Myślałem, że to jakiś ciemniak ale piąty i dziesiąty mówił to samo. Poznałem, że jest to politrabota. Byłem ostrożniejszy i na przyszłość mówiłem, iż Niemcy gnali nas ze sobą. Nagle usłyszałem kilka wozów do tyłu przeraźliwy krzyk kilku kobiet " Nein! " Potem była chwila ciszy, następnie podniecone głosy, głośne rozmowy, woła-

nia i rozległ się strzał. Poszedłem zobaczyć co się stało. W rowie leżał nasz sąsiad Kirschtowski. Głowa była do połowy odstrzelona przez szyję, ale jedną stroną trzymała się mięśniami i żyłami tułowia. Krew jeszcze bluzgała i buchała parą. Zona zabitego i dwie córki słaśniały się zawodząc i wyjąc rozpaczliwie. Kirschtowski mimo polskiego nazwiska języka polskiego nie znał. Zapytałem starszego Rosjanina, który u nich pracował za co go zastrzelili. Okazało się, że żądali od niego zegarka a on odpowiedział iż zegarka nie ma, a jak przetrząsnęli kieszenie to zegarek był. Za to dostał pięć gram ołowiu w tył głowy. A może on nie rozumiał o co chodzi. W każdym razie na wszelki wypadek go zastrzelili. Wróciłem do swojej fury i powiedziałem Bruckertowi, że Kirschtowskiego zastrzelili.

Byłem ze dwadzieścia razy rewidowany. Jeden kończył rewizję a drugi już zaczynał. Miałem ze sobą zbiorek " Pieśni Krasnej Armii ", który jeszcze w domu zabrałem z rozbitego czołgu. Jeden żołdat zainteresował się nim i zapytał skąd go mam. Powiedziałem zgodnie z prawdą, że przywiozłem go z domu. Ten pomyślał trochę i burknął, ale kto wie co u ciebie jest w sercu. Podszedł następny i ten rewidował mnie szczególnie dokładnie - jak żaden inny. Widziałem, iż chce mnie koniecznie "rozchodować", czyli zastrzelić, ale nic z tego nie znalazł co z żalem stwierdził. Nasze oczy spotkały się; jest takie pojęcie "ołowiane spojrzenie". To było właśnie ołowiane spojrzenie. Z niechęcią zostawił mnie w spokoju i odszedł. Wiedziałem, że uniknąłem śmierci. Czemu to zawdzięczam. Być może gorącym modlitwom mojej matki, które odczuwałem nad sobą. Takiego wyzwolenia nie spodziewałem się.

Następnie przyszedł bolszewik być może od taborów i zaczął wyprzęgać klacz. Powiedziałem mu żeby ją zostawił, bo nie będzie

miał z niej korzyści - jest zrebna i w tym tygodniu będzie się zrebić. Ruski popatrzył na mnie, ale posłuchał i zaczął wyprzęgać Schimmla siwka. Z siwką pożegnałem się, pocałowałem go w kącik pyska i tyle go widziałem. Soldat widząc to zapytał: "A ty czto?" powiedziałem mu aby go doglądał bo to też Polak i plennyj. Siwek odchodząc wdzięcznie kręcił zadem. Lubiłem go.

Hermann Leipksi karczmarz z Rychnowa ponury typ przyszedł wystraszony do mojego Bruckerta jako do przywódcy i zapytał: "Otto was machen wir nun? - Otto co my teraz zrobimy?" Mój tylko wzruszył ramionami. Leipksi był w kapeluszu i wyglądał na burżuja. Powiedziałem mu ze złością: "Człowieku, jeśli chcesz przeżyć to zdejmij chociaż ten kapelusz. Nałóż zwyczajną czapkę." Posłuchał mnie natychmiast. Masy czerni przewalały się nadal. Stałem i mówiłem sobie: "Zapamiętuj, zapamiętuj co tylko można. To się przecież skończy."

Poszedłem do wniosku, że nasz pobyt przy baorach jest przecież bezcelowy. Poszedłem w tył kolumny i zabrałem brata. Do nas dołączyli rozmaici inni obcokrajowcy. Było nas około 20 osób, chłopaków i dziewcząt. Ruszyliśmy w kierunku Ostródy. Po drodze soldaty z samochodów zaczepiali dziewczęta, te z uśmiechem im odkrzykiwały. Jednym słowem sielanka. Zeby te nieboraczki wiedziały co je już czeka za parę godzin.

Przed miastem zatrzymał nas podoficer kontrwywiadu i poradził nam, aby odejść dalej od szosy i zająć jakiś dom, aby tam przenocować, bo na szosie może nas jeszcze spotkać krzywda. Mówiąc to pokazał nam swoją dłoń i dalej mówił. Patrzcie na tę dłoń, nie wszystkie palce są jednakowe. To samo jest z ludzmi - każdy jest inny. Jakże źle zrobiliśmy, że nie posłuchaliśmy go. Nie dowierzaliśmy mu - wiadomo bolszewik. Brak było zaufania.

Ruszyliśmy dalej. Wchodziliśmy do Ostródy. Miasto płonęło. Przy ulicy, którą weszliśmy do miasta, domy od strony śródmieścia paliły się pełnym płomieniem. Inne dopiero zaczynały się palić. Inne zaś dopiero dymiły. W końcu zauważyłem, że z najbliższego domu wyszło trzech ruskich, a za nimi pokazał się dym. Jasne było, że to są podpalacze czy to też jak to się z niemiecka mówi Brandkommando. Nie wytrzymałem. Zapytałem ich: "Dlaczego podpalacie te domy?" Chwilę stali w milczeniu a w końcu jeden z nich odparł, że "My mścim za Ukrainu". Potem, gdy już dowiedziałem się, że te tereny mają pozostać przy Polsce inaczej na te sprawy patrzyłem. Palił się Arbeitsamt - Urząd Pracy. Z mściwą radością patrzyłem na ten pożar, ale i szkoda było nie tyle pięknego budynku ile dokumentów dotyczących nas - robotników przymusowych.

Paliły się zakłady młynarskie. Ten budynek był pięciopiętrowy. Z góry spadały jakieś maszyny młynarskie. Jedna z maszyn wisiała jakiś czas na kablu elektrycznym a następnie runęła w dół. Gdyby ten młyn ocalał, to Ostróda byłaby dzisiaj potęgą młynarską. Doszliśmy do przejazdu kolejowego. Tu stały setki rowerów. Kto chciał, ten brał. Kto wziął temu Ruskie po kilkuset metrach zabrali i usiłowali jechać, czego jednak nie potrafili. Przy przejeździe był rozstawiony CKM, a obok niego leżał niemiecki żołnierz w samej bieliznie i w hełmie na głowie. Wyszliśmy poza miasto. Po drodze zauważyłem trupa rozjeżdżonego człowieka. Wyglądał jakby to był duży koc. Tylko po zarysach rąk i nóg można było poznać, iż to jest człowiek. Koło Grabina dojeżdżaliśmy do cegielni. Przy samej szosie stał duży dom mieszkalny. Zajęliśmy ten dom na noc. Okazało się, że w pobliskich szopach Ruskie mają swoje tabory i trzymają konie. Wśród Ruskich

rozpoczęły się rozmowy, że są baby. Rozmowy na razie były grzeczne. Pytali skąd jesteśmy, jak nam było u Niemców. Mówiliśmy zgodnie z prawdą, iż byliśmy karmieni przeważnie kartoflami. Ja pochwaliłem się swoim listem pochwalnym, który otrzymałem na zakończenie roku szkolnego 1941.

Był tam portret Lenina i Stalina, a wszystko czerwone i złote. Pytali mnie czy pokazywałem ten list Niemcom. Powiedziałem że tak. Tym listem to swoją pozycję trochę podreperowałem.

Potem wpadł jakiś pijany żołdat z krzykiem, że tu jest tyle naszych rebiat pobitych. Być może zostali oni ostrzelani przez tego żołnierza na motorze z tym Hitlerjungiem i działkiem przeciwpancernym. To jest wielce prawdopodobne. Następnie żołnierz z wściekłością krzyknął: "A nuka wsie Mużczyny wychodzić i pod scienku". Wskoczyliśmy z budynku i stanęliśmy pod ścianą. Ja to jeszcze byłem w płaszczu i butach, ale brat wyskoczył tylko w marynarce i skarpetkach. A mróz był wtedy około 20 stopni. Żołdat zdjął pistolet maszynowy. Ja zgodnie z tym co uczył nas kiedyś ksiądz katecheta odmówiłem akt "w ręce twoje <sup>Panie</sup> oddaję ducha mego". Ale na szczęście nadeszło dwóch trzeźwych żołnierzy, którzy zapytali co się dzieje. Ten im coś odpowiedział, a oni do niego "a ty czto durak". I kazali nam iść z powrotem do domu. Nie tak wyobrażałem sobie wyzwolenie.

W pokoju, w którym byliśmy ja i brat siedzieliśmy na łóżku. Na tymże łóżku siedział Litwin Józek, który pracował u Falihra a z nim siedziała Niemka z Westwalii. Przybyła ona z tamtych stron jako Bombenbeschadigte - czyli poszkodowana od bombardowań. Miała 17 lat. Była widocznie krewną tegoż Falihra. Półgłosem rozmawiała z Józkiem. Ze ona jest Niemką to my wiedzieliśmy, ale nikomu nie zależało na tym, aby ją zdradzić. Jakiś Ruski podofi-

dzo oczekiwała przyjscia "naszych". Wtedy dopiero zrozumiałem co to znaczyło, gdy moja ciotka Waleria przyjeżdżając ~~do~~<sup>z</sup> Łap opowiadała co to wyczyniali bolszewicy w czasie wojny w 1920 roku z polskimi kobietami i co znaczyło odezwanie się matki, że "chłopcy nic nie rozumieją".

Muszę jeszcze opisać drobny acz znamieny incydent. Jeden z Ruskich znalazł wśród dziewcząt ziemiaczkę t.j. z jednych stron. Wymieniali znane miejscowości, być może wspólnych znajomych. Ten żołnierz miał jakąś szarżę. I trzeba trafu, że tę właśnie dziewczynę upatrzył sobie inny żołdat. Zaczął ją szarpać. Na to ten, z którym ona dotychczas rozmawiała odezwał się w te słowa: "Stiopa zostaw ją. Ja wiem, że ty przez te trzy dni możesz mnie nie posłuchać. No smatri żyć budiem i jeżeli ją nie zostawisz w spokoju to w przyszłości możesz tego gorzko pożałować". Żołdat przestał dziewczynę szarpać, dłuższą chwilę namyślał się i w końcu zostawił ją w spokoju.

Ze wojsko będzie mogło przez trzy dni mordować, palić i gwałcić to czytałem w "Osteroder Zeitung". A więc jednak to była prawda.

Gwałty ustały gdzieś po północy. Niemiecka dziewczyna oporządziła się i z Litwinem Józkiem udali się w kierunku Rychnowa. Szli bocznymi drogami i bez przeszkód dotarli na miejsce.

Nad ranem znowu przyszli Ruskie i pytali, gdzie jest ta Polaczka. Powiedzieliśmy, że poszła sobie. Byli wielce zdumieni i rozczarowani. Podobała się im najbardziej, bo też i była najładniejsza.

Gdy zaczęło świtać zabraliśmy się i my. Szliśmy szosą i całą gromadą doszliśmy do Rychnowa. Wojska już się przewaliliy. Z bratem zajęliśmy dom sołtysa Gustawa Lucki

Na drugi dzień wrócili i moi baorzy. Oba konie im zabrali. Wóz z całym mieniem pozostawili na szosie. To musiało komicznie wyglądać jak oni siedzieli na wozie, a z przodu zamiast koni był tylko dyszel. Z wielkim żalem pomyślałem o naszej klaczy, która była już na ożrebieniu. Jaki też był jej los, gdzie leżą jej kości.

Moi baorzy po porzuceniu mienia szli do Rychnowa. Gdzieś koło Ostródy Ruskie upatrzyli sobie Elkę do zabawy. Baorka stanęła w jej obronie. W końcu powiedziała im, że "jeżeli już chcecie to ja pójdę z wami, ale zostawcie mego dzieciaka w spokoju". I o dziwo zostawili ją, a baorka w wieku około 50 lat zapewne nie bardzo im odpowiadała. Być może jakiś wpływ miało i to, że rozmawiała z nimi po polsku. Elka potem nie nocowała w cegielni tylko w stajni zagrzebana w końskim nawozie. Tam też odmroziła sobie nogi, z którymi miała potem wielkie kłopoty. Nogi były koloru czerwonego i niebieskiego. Gdy baorka spotkała mnie w Rychnowie to powiedziała, że jestem dla niej jak syn. No proszę. Była taka chwila, że baorka i ja zostaliśmy sami w kuchni. Skorzystała z okazji i powiedziała mi, że dobrze by było gdybym się z Elką ożenił. Odpowiedziałem na to, że owszem to bardzo ładnie z jej strony tylko, <sup>że</sup> ja nie myślę pozostawać w Rychnowie. Na to baorka odparła: "na denn mach wie du willst". Więcej do tej sprawy nie wracaliśmy. Ta chwila była dla mnie tryumfem. Proszę pomyśleć. Hitlerówka oddaje swoją hitlerowską córkę Polakowi, parobkowi którym się pomiatało. Człowiekowi niższej rasy, wrogowi, a ten gardzi i nie chce brać. Coś niebywałego. Trzeba nadmienić iż Elka była dziewczyną jak łania, blondyna dwa lata młodsza ode mnie. Nieraz szczyptałem ją w półdupek, to groziła mi palcem i mówiła: "Pass auf!" ale nie widać było żeby

się czuła obrażona.

Za zbliżenie seksualne do Niemki groziła kara śmierci.

Mój gospodarz siedział osowiały i smutny z innymi baorami i tak do mnie powiedział: "Kto by to jeszcze przed dwoma tygodniami pomyślał, że to wszystko tak się potoczy." Poza tym doszukiwał się swojej polskości. Mówił, że oni to są właściwie Mazurami. Jeżeli z niemieckiego ojca a polskiej matki zrodzą się dzieci, to już nie są to Niemcy ale Mazurzy. I to mi opowiadał członek partii NSDAP piastujący we wsi stanowisko przywódcy.

W godzinach południowych zauważyliśmy jakąś kobietę przędzierającą się przez pole. Gdy podeszła bliżej do nas poznaliśmy, iż jest to Józefa pracująca u Maschkego. Zauważyła nas. Uśmiechnęła się jakoś blado. Zamieniliśmy kilka zdań, a w końcu zapytałem ją czy czasem nie wpadła w ruskie łapy. Na to pojawiły się w jej oczach łzy i cicho odpowiedziała: "Niech ich cholera weźmie!" Ucieszyła się gdy powiedzieliśmy jej kto wrócił z ucieczki. Litwin Franek i Józefa mieli się ku sobie.

Opisałem to co zdołałem zapamiętać a wszystko jest prawdą.

...Sodet's

## Moja droga do Kętrzyna.

Po prawie czterech latach pracy przymusowej na roli u Niemców we wsi Rychowo w powiecie Ostróda zostaliśmy w dniu 23 stycznia 1945 roku w okolicach Miłomłyna wyzwoleni przez bohaterską Armię Czerwoną. Wyzwolenie nie było co prawda takie jakiego się oczekiwało, bo byliśmy nawet stawiani do rozstrzelania pod zarzutem pomagania Niemcom.

Na początku lutego 1945 roku wybraliśmy się do domu. Mieliśmy już konia i sanki od mojego baora. Było nas troje. Mój brat, ja i Olga - białoruska dziewczyna, która pracowała ze mną. Do Olsztynka dojechaliśmy bez przeszkód. Przenocowaliśmy gdzieś za Olsztynkiem. Potem pojechaliśmy dalej. Pod Niborkiem - Nidzią ruskie chcieli nam konia i sanie zabrać, ale ich podoficer wyrwał żołdatom lejce i wręczył mi z powrotem. Powiedziałem: "Spasibo". Po kilku kilometrach tym razem czterech Ruskich łącznie z podoficerem zabrali nam konia i sanie. Zegarków już nie mieliśmy.

Dotarliśmy do Mławy i tu przenocowaliśmy. Nazajutrz oczekując okazji samochodowej staliśmy wszyscy troje na ulicy. Przy nas stało dwóch oficerów rosyjskich w czystych kożuszkach i walonkach. Po drugiej stronie ulicy szła gromada jeńców - Francuzów. Było ich około 50. Na widok Francuzów oficerowie ci wymienili między sobą uwagi, że trzeba będzie jeszcze tysiące z nich wystrzelać. Byłem zdumiony. Za co? Po pięciu latach niewoli być rozstrzelanym przez wyzwolicieli.

Po chwili oczekiwania trafiła się okazja. Wziął nas samochód ciężarowy sztudebaker i dość grzeczny kierowca zawiózł nas aż do Zambrowa. Brat dał mu za to mieszek tabaki. Tu znowu noco-

waliśmy. Na drugi dzień wartownik skierował nas na teren koszar. Były to polskie koszary oficerów rezerwy piechoty. Tu rosyjscy oficerowie odebrali nam co tylko przedstawiało jakąś wartość mówiąc iż jest to dar na Armię Czerwoną. Mnie zabrali nawet czarną koszulę, którą kiedyś moja matka przysłała do Niemiec. Koszula była szyta w Mińsku. Oldze odebrali jesionkę, którą znalazła gdzieś koło Ostródy i z której bardzo się cieszyła. Dopiero po latach czytając pracę rosyjskiego pisarza Aleksandra Issajewicza Solżenicyna dowiedziałem się iż byli to oficerowie NKWD. Nie mieli oni dostępu do zdobyczy, bo nie byli w oddziałach liniowych. Mieli przez to pewien uraz niższości i żeby sobie straty powetować zadawalali się odbieraniem rzeczy u robotników przymusowych, jeńców i więźniów. Potem powiedziano nam, że będziemy wcielani do Armii Czerwonej i trzeba iść do komendanta miasta Sniadowo. Było to około 18 kilometrów. Poszliśmy, a było nas około 20 Słowian.

Komendant miasta powiedział, że po czorta my jesteśmy jemu potrzebni i kazał jechać do Białegostoku. Od Sniadowa była już kolej. Na platformach dojechalśmy do Białegostoku. Tu nocowaliśmy na jakiejś sali w pół rozbitym budynku. Tu oblaży nas wszy. Dowiedzieliśmy się iż nasze rodzime miasto Wołkowysk jest poza nową granicą.

Wysłaaliśmy poprzez kolejarzy ( kolegów ojca ) listy powiadamiające, że jesteśmy w Białymstoku żywi i zdrowi.

Przystąpiliśmy do pracy w elektrowni miejskiej jako węglarze. <sup>2</sup> Pracowaliśmy do maja 1945 roku tj. do czasu ogłoszenia naboru ochotników na Ziemię Odzyskane. Trzeba było zapisać się do Polskiego Związku Zachodniego. Dostaliśmy skierowanie do miasta Rastenburg. Chcieliśmy się dostać do Ostródy, ale okazało się,

że do tego miasta kieruje tylko Warszawa. Białystok kierował do Łuczana i Rastemborka. <sup>14 maja 1945</sup> Pojechaliliśmy. Jechaliśmy lokomotywą, która szła luzem do Ostrołęki. W Ostrołęce nocowaliśmy. Potem dojechaliliśmy do Ortelsburga - Szczytna. Tu jeńcy niemieccy ładowali szyny kolejowe zerwane z jakiejś linii. Jeńcy nie pracujący ~~chodzili kompaniami i śpiewali. Śpiewali przeważnie piosenkę "Ingrunen Wald"~~. Jednemu jeńcowi szyna złamała nogę. Jechał on potem razem z wartownikiem do szpitala w Olsztynie. <sup>3</sup> Dojechaliliśmy do ~~Olsztynie~~ było już trochę Polaków. Ratusz był zajęty a obok koczowali różni ludzie. Szukaliśmy mieszkania do przenocowania. Lepsze były już zajęte. Były przyćepione na ich drzwiach kartki "Zajęte przez członka PPR". Na te kartki nie zwracaliśmy uwagi i wchodziliśmy do mieszkań.

Nazajutrz dojechaliliśmy do Korsz. Kolej dalej nie chodziła. Tutaj Rosjanie kazali nam przez parę godzin czyścić stację. Była ona naokoło obsrana. Po pewnym czasie urwaliśmy się i poszliśmy do domu kolejowego, w którym przenocowaliśmy.

Następnego dnia pieszo udaliśmy się w kierunku Rastemborka. Po drodze trafiliśmy na były obóz Hitlerjugend. Była tam studnia artezyjska. W obozie było dużo rowerów, nart i koncentratów żywnościowych.

Po drodze w jednym z majątków chcieliśmy dostać trochę mleka. Tu zatrzymali nas Rosjanie, którzy wylegitymowali nas. Dokumenty mieliśmy w porządku więc puszczono nas.

Doszliśmy do cegielni w Gałwunach (n. Galbuhnen), gdzie nocowaliśmy. Rastembork był widoczny z daleka. Palił się, a potem zaczęły wybuchać jakieś pociski obok dużego kościoła. Tam musiał być jakiś skład amunicji.

Dnia 21 maja 1945 roku wchodziliśmy do Kętrzyna obecną uli-

cą Gen. Władysława Sikorskiego. W koszarach stało wojsko rosyjskie. Gdy przechodziliśmy obok koszar to kilku oficerów rugało przy bramie wartownika i podoficera, którzy stali wyprężeni i zaczerwienieni coś się tłumacząc. W mieście nie było właściwie nikogo. Chodnikiem na koniu galopował jakiś żołdat. Przemknęło się kilka kobiet. Okna były otwarte lub powybijane. Wiatr kiwał okiennicami. Wszędzie było pierze i papiery. Jaki był cel rozpruwania pierzyn i poduszek? W mieszkaniach były książki co nas interesowało, a na które nie było amatorów. Widzieliśmy otwarty kościół. Może faszystowski? Zaszliśmy do niego. Tabernakulum było otwarte i puste. Była niemiecka Matka Boska i niemiecki Pan Jezus. Wszędzie było napaskudzone. Na ścianach było kilka obrazów świętych. Byli niby święci, ale kto to wie może to Volksdeutsche. Wyszliśmy z kościoła i poszliśmy dalej. Po drodze spotkaliśmy kilku starych Niemców, którzy na nasz widok zdjęli czapki, głęboko się ukłonili i powiedzieli "Guten Tag". To mnie bardzo zawstydziło i nie wiedziałem jak się zachować. Odpowiedziałem "Guten Tag". Może było jakieś zarządzenie odnośnie kłaniania się wszystkim Polakom? Te chłopcy to zapewne brali udział w I-szej wojnie światowej. Jeszcze parę miesięcy temu ja musiałem przed Niemcami czapkować, ale nie czyniłem tego tak gorliwie i unizenie.

Przy obecnym biurze miyna przyjął nas starosta Jan Downar. Papiery uznał za dobre. Przydzielił nas do spraw rolnych do dyspozycji hrabiego Stanisława Rzewuskiego.

A potem życie płynęło swoim trybem. Parę miesięcy pracowaliśmy w Nieruchomościach Ziemskich. Potem pracowałem w cukrowni. Potem służyłem w Wojsku Polskim w latach 1946 - 1948. Po powrocie z wojska poszedłem do pracy na kolei wąskotorowej. Pracowa-

łem tam przez 22 lata co wspominam najlepiej i z pewnym sentymentem.

Następnie po zlikwidowaniu wąskotorówki poszedłem do pracy na normalnym torze. Przez 2 lata byłem dyżurnym ruchu. Potem przez 8 lat kierownikiem ekspedycji kolejowej. 1-go stycznia 1982 roku przyszła zasłużona emerytura.

Przed wyjazdem z Białegostego pisałem na kartce swego rodzaju pamiętnik.

10 maj 1945r. Zapisaliśmy się na członków PZZ w Białymstoku.

11 maj 1945r. Ogłoszenie wyjazdu. Otrzymujemy przepustki na wyjazd do Prus Wschodnich.

13 maj 1945r. Łaźnia i ostatnie przygotowania.

14 maj 1945r. Odjazd na parowozie w kierunku na Ostrołękę i nocleg w Ostrołęce.

15 maj 1945r. Ortelsburg i nocleg tamże.

16 maj 1945r. Olsztyn i nocleg tamże.

17 maj 1945r. Korschen, praca przy oczyszczaniu stacji i nocleg.

18 maj 1945r. Wymarsz z Korschen. Nocleg w cegielni pod Rastenburgiem razem z ludźmi wracającymi do kraju.

19 maj 1945r. Pobyt w cegielni.

21 maj 1945r. Przybywamy do Rastenburga.

26 maj 1945r. Zwiedzam po raz pierwszy majątek Woplauken - przyszłe miejsce pracy.

27 maj 1945r. Niedziela.